

Byłe nie na moim podwórku

8 czerwca 2010

Czy potrzebne są nowe schroniska dla bezdomnych? A placówki dla dzieci z trudnych rodzin, hospicja, mieszkania socjalne, ośrodki dla uciekinierów z krajów ogarniętych wojną? Niemal każdy odpowie: tak. Chyba że tego rodzaju placówka miałaby powstać w pobliżu...

POZBYĆ SIĘ SWOŁOCZY

– Nikt nie pomyślał o tym, że mieszkania oraz domy w takim strasznym sąsiedztwie tracą na wartości. Czemu mieszkańcy mają ponosić straty z powodu jakichś pijaków i życiowych nieudaczników? – taki komentarz znalazł się pod artykułem na stronie internetowej jednego z lokalnych dzienników. Tekst traktował o proteście mieszkańców poznańskiej ul. Pogodnej przeciwko ośrodkowi Markotu – schronisku dla bezdomnych. Był jednym z najłagodniejszych. – To się można naprawdę wk...ć, mając takich pod oknem – tak o czekających w kolejce po jedzenie wyraziła się internautka, której zawtórował jeden z okolicznych mieszkańców, sugerujący, jakoby niemal wszyscy biedni i bezdomni przyjeżdżali po pomoc samochodami i taksówkami.

Podobny poziom miała cała „dyskusja” dotycząca poznańskiego Markotu: mało argumentów, dużo demagogii i przekleństw. Pośród całego zgiełku uwagę przykuwa wpis mieszkanki ośrodka. Jako jeden z nielicznych napisany kulturalnym językiem, jedyny – podpisany imieniem i nazwiskiem. Autorka, samotna matka, bez problemów z alkoholem (po prostu przytrafił się jej splot nieszczęśliwych zdarzeń), wyjaśnia, że wbrew zarzutom nowobogackich mieszkańców, utyskujących na konieczność „utrzymywania ludzi z marginesu”, lokatorzy placówki nie pozostają na garnuszku magistratu. Płacą czynsz, a także podatki, gdyż wielu z nich pracuje. W odpowiedzi jedna z mieszanek „porządnej” części osiedla napisała: Jesteście

zwykłą swołoczą i prędzej czy później się was pozbędziemy, czy to się wam podoba, czy nie.

Bardziej ogłędnie wyraża się Leszek Orkisz, prezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Dom nad Słupią” ze Słupska. O blokach socjalnych, które miały powstać w sąsiedztwie osiedla, mówił: Wiadomo, kto do takich domów idzie, są to osoby mające problemy finansowe i w ogóle różnorakie problemy. Przecież tam nie będą mieszkały same niewiniątka. Także i w tym przypadku komentarze internetowe aż kipiały od nienawiści. – Won z tymi slamsami!!! – napisał internauta Razor.

NIEZBITE DOWODY

Bez względu na sedno konfliktu, scenariusz wyzwisk oraz konfabulacji jest zwykle podobny. Dość często powtarza się też wątek „niezbitych dowodów” w postaci nagrań filmowych czy zdjęć, mających potwierdzić nieobyčajne zachowania mieszkańców placówek pomocowych. W przypadku ośrodka przy Pogodnej okoliczni mieszkańcy zarzekali się, że są w posiadaniu obrazów libacji odbywających się na jego terenie, mimo iż żelazną zasadą wszelkich noclegowni i ośrodków dla bezdomnych jest zakaz spożywania alkoholu. Temat wydaje się więc wprost stworzony dla mediów, jeśli nie tych poważnych i opiniotwórczych, to przynajmniej dla brukowców. Dziwne więc, że nikt nie przekazał dziennikarzom rzekomo posiadanych przez siebie dowodów, skoro mogłyby one ułatwić osiągnięcie celu.

Nieco lepiej zrozumiałem problem, gdy zapoznałem się z sytuacją podobnych ośrodków w innych częściach kraju. Analogiczny konflikt ma miejsce na szczecińskim Stołczyźnie, gdzie znajduje się schronisko dla bezdomnych Fenix. Jeden z mieszkańców okolic schroniska zapewnia, że ma kompromitujące zdjęcia jego pensjonariuszki, która pijana śpi na ławce. Po prośbie o zdjęcie i dłuższej rozmowie okazuje się, iż rzeczywiście posiada zdjęcie jakiejś kobiety, ale na jego podstawie nie można określić ani stanu jej trzeźwości, ani stwierdzić nic innego ponad to, że śpi. Zresztą sam fotograf

nie sprawdził w żaden sposób, czy sfotografowana kobieta piła alkohol. – Kiedy protest części zmanipulowanych mieszkańców trafił do mediów, dziennikarze przyjeżdżali tu po kryjomu z kamerami i aparatami, chcąc nas nakryć na imprezach. Ani jeden nie trafił na jakikolwiek ślad, który by potwierdzał doniesienia o rzekomym pijaństwie – relacjonuje Arkadiusz Oryszewski, kierownik Fenixa, a zarazem prezes stowarzyszenia o tej samej nazwie.

KRADNĄ, DEPRAWUJĄ I ŚMIERDZĄ

Gdy argumenty o nadużywaniu alkoholu nie wytrzymują konfrontacji z rzeczywistością, na podorędziu są zawsze inne. Niektórzy mieszkańcy Stołczyna „widzieli niejednokrotnie”, jak bezdomni z Fenixa kupują alkohol nieletnim, w zamian za odstąpienie jego części. Mowa też o tym, że niechciani bezdomni są uciążliwi dla otoczenia. Chyba każdy spotkał kiedyś bezdomnego, który „nie pachniał różami”. Kierownik Fenixa zarzeka się jednak, że jego podopieczni chodzą czysto odziani i umyjni. – Niektórzy nie są już w pełni sprawni, ale dbają o siebie nawzajem, pomagają sobie w toalecie czy ubraniu się – mówi pan Arkadiusz. Podobnie jest w Poznaniu.

Pracowałem kiedyś z pensjonariuszami schroniska dla bezdomnych mężczyzn, prowadzonego przez Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta. Na podstawie tego doświadczenia jestem gotów wierzyć zapewnieniom kierowników obu ośrodków. Tych kilkanaście osób, z którymi się zetknąłem, przychodziło punktualnie, byli zawsze czysti i trzeźwi, w przeciwieństwie do niektórych pracowników mieszkających w normalnych warunkach. Owszem, wielu z nich miało w przeszłości problemy z alkoholem, jednak każdy posiadał silne postanowienie wyjścia na prostą, rozpoczęcia wszystkiego od nowa i wszelkie okazje ku temu łapali, jak tylko mogli. Nawet, gdy zgubiłem klucze i znalazł je jeden z bezdomnych kolegów, spotkałem się ze stanowczą odmową zwyczajowej w takich okolicznościach butelki wódki.

Bronią cięższego kalibru są oskarżenia o kradzież. Bezdomni

musieliby być jednak wyjątkowo nieudolnymi złodziejami, skoro ciągle mieszkają w schronisku... Dlatego ten argument dużo częściej wykorzystywany jest w kampaniach przeciwko lokatorom mieszkań socjalnych. Prezes Orkisz mówi wprost: My tu już mieliśmy w latach 90. sąsiedztwo domów komunalnych. Pamiętamy, co tu się działo, to były zdarzenia kryminalne. Twierdzi, że jego protest spowodowany jest zgłoszeniem mieszkańców, którzy boją się o swoje mienie. Kilka minut później mówi, że bloki komunalne „mogłyby być”, bo to jednak „inny poziom kultury”, ale na socjalne zgody nie wyraża.

FORSA ÜBER ALLES

Mieszkańcy osiedla „Dom nad Słupią” obawiają się także spadku wartości swoich mieszkań. – Każdy, kto będzie chciał sprzedać mieszkanie w naszej spółdzielni, od razu będzie miał dobrą cenę z głowy – uważa prezes Orkisz. Obawy te znajdują potwierdzenie na krakowskich Klinach, gdzie ceny nieruchomości znacznie spadły po wybudowaniu w sąsiedztwie bloków socjalnych i komunalnych. – Jak można wprowadzać taki socjal i komunalne w takie osiedle, my tu własność mamy – dziwi się Barbara Lambor, radna X dzielnicy.

Podłoże finansowe mają także obawy mieszkańców Jastrzębiej Góry. Przed rokiem dotarła do nich plotka o zamiarach lokalizacji w mieście ośrodka dla uchodźców. Natychmiast zawiązali komitet obywatelski, którego celem było niedopuszczenie do powstania placówki. Chociaż w rzeczywistości nikt nie planował jej utworzenia, reakcja lokalnej społeczności była symptomatyczna. Dziewięćdziesiąt procent z nas zajmuje się turystyką, tj. wynajmem pokoi, gastronomią, prowadzeniem barów (...) Jeśli uchodźcy wystraszą turystów, o dotychczasowym sposobie zarobkowania będziemy mogli zapomnieć – napisali mieszkańcy w liście skierowanym do mediów. W dalszej części powołują się na ten sam aspekt, co słupszczenie, czyli na problem spadku wartości nieruchomości. Deklarują, iż nie są ksenofobami, obawiają się tylko utraty dochodów. Jako dogodne miejsce dla osób, które uciekły od

koszmaru wojny, wskazują zlikwidowany PGR lub... poligon.

Podobnie argumentowali mieszkańcy warszawskiej Białołęki, przeciwnicy utworzenia... przedszkola. – Nie mam nic przeciwko dzieciom, ale kto by chciał mieć takie sąsiedztwo – mówił we wrześniu 2008 r. jeden z sąsiadów placówki. Choć ciężko w to uwierzyć, mieszkańcy obawiali się, że powstanie przedszkola znacznie obniży wartość ich domów. Szczególnie bulwersujący jest jednak przypadek hospicjum na łódzkim Julianowie, przy szpitalu im. Jordana. Również tutaj protestujący mieszkańcy obawiają się spadku cen nieruchomości.

Dodać należy, że w obu przypadkach mamy do czynienia z zamożnymi osiedlami domów jednorodzinnych. Przedszkole, póki co, funkcjonuje, choć jego los jest niepewny: wcześniej w tym samym miejscu istniał Klub Malucha, który musiał zakończyć działalność właśnie z uwagi na niechęć mieszkańców. Batalia o hospicjum wciąż trwa, a jego przeciwnicy wymyślają coraz to nowe argumenty. Przykładowo, nagle zainteresowali się kwestiami ekologicznymi (choć kilka lat temu prosili o usunięcie pojemników na surowce wtórne) i zaczęli podkreślać, że budowa hospicjum oznacza wycięcie pewnej liczby drzew oraz zwiększenie ruchu samochodowego.

Największym problemem jest jednak dla mieszkańców Julianowa widok karawanów i wynoszonych zwłok. – To jakiś absurd. Na oddziałach internistycznych, a taki znajduje się na terenie szpitala, jest więcej zgonów niż w hospicjach – komentuje dr Iwona Sitarska z łódzkiego Caritasu, zaangażowana w tworzenie placówki. I dodaje: Z jednej strony mamy telewizję czy gry komputerowe pełne śmierci, z drugiej – próbujemy przed nią uciec, gdzieś ją schować...

PRZEPRASZAM, CZY TU BIJĄ?

Niespełna rok temu mieszkańcy ulicy Paderewskiego w Gliwicach zaprotestowali przeciw utworzeniu na parterze ich bloków mieszkań przystosowanych dla wychowanków domów dziecka.

Młodzi lokatorzy mieli się tam uczyć samodzielności, zanim ostatecznie opuszczą mury placówki – w której zakupy, przygotowywanie posiłków czy większość sprzątanía wykonywane było przez pracowników.

Lokalizacji takich mieszkań sprzeciwili się sąsiedzi. Argumentowali to poczuciem zagrożenia możliwością wspięcia się przez podopiecznych domów dziecka po balkonowych barierkach na wyższe piętra, w celu dokonania kradzieży. Żadnego skutku nie odniósł argument dyrektor placówki, Ireny Paprockiej, że tylko jeden z podopiecznych miał jakikolwiek konflikt z prawem i w dodatku oczekuje na przeniesienie do ośrodka wychowawczego. Na niewiele zdały się również zapewnienia magistratu, że w sąsiedztwie innych mieszkań przystosowawczych nie dochodzi do żadnych incydentów. Potwierdza to pani Irena: Tam, gdzie są tego typu ośrodki, dzieci starają się dobrze zaprezentować.

Protestujący przeciwko osiedlom socjalnym bardzo często wyrażają obawę, jakoby miały one stanowić swoiste getto. Ma to, niestety, solidne podstawy socjologiczne. Pomimo zapewnień urzędników, że do mieszkań socjalnych niekoniecznie trafia się na resztę życia, szanse na wyjście ze skupiska biedy mają i wykorzystują nieliczni. Leszek Orkisz dowodzi, że osoby, które mają kłopoty finansowe i nie stać ich na normalne mieszkania oraz którym często towarzyszą inne problemy, mają tendencje do wzajemnego „nakręcania się” w zachowaniach destrukcyjnych. Przekonuje, że takie osoby należy umieszczać pomiędzy „normalnymi” mieszkańcami – wówczas mają szansę „wyjść na prostą”. Gdy zbierałem informacje do artykułu o mieszkaniach komunalnych i socjalnych („Obywatel” nr 44), specjaliści, z którymi się wówczas spotkałem, byli podobnego zdania.

Powstaje jednak pytanie, czy mieszkańcy osiedla zgodziliby się przyjąć do swoich bloków po jednej rodzinie z różnymi problemami. Po części odpowiedzi udziela sam prezes Orkisz, który mówi, że czeka na... mieszkania socjalne dla dwóch rodzin, które chce eksmitować. Chwilę później wskazuje inną część miasta jako znakomitą lokalizację dla takiego osiedla. Na

takie pomysły władze lokalne się jednak nie godzą. – Nie może być mowy o lokowaniu uboższych mieszkańców na obrzeżach miasta. To byłoby traktowanie osób mniej zamożnych jako obywateli drugiej kategorii, a ponadto właśnie to prowadziłoby do powstawania gett – mówi Mariusz Smoliński, rzecznik prasowy prezydenta Słupska.

Przykładu, że strach przed „gettem” miewa pewne podstawy, dostarcza dawny hotel robotniczy przy ul. Koreańskiej we Wrocławiu. Samorząd zaadaptował go na lokale socjalne i umieścił w nim osoby po wyrokach sądowych, alkoholików, ale i tych, którym po prostu powinęła się noga. Powstała mieszanka wybuchowa, a do budynku boi się wchodzić nawet firma ochroniarska, wynajęta w celu zapewnienia spokoju.

Brak sensu tworzenia skupisk lokatorów „z problemami” widać też na przykładzie krakowskich Klinów, gdzie w blokach socjalnych umieszczono wiele osób mających wcześniej konflikt z prawem, nierzadko recydywistów. – Oni terroryzują całe osiedle, całą jego porządną część. Próbują rządzić naszymi, porządnymi ludźmi – mówi radna Lambor, a następnie wylicza cały wachlarz przestępstw, częstotliwość popełniania których wzrosła po wzniesieniu budynków socjalnych. Zaznacza, że mieszkania socjalne, również dla byłych przestępców, powinny się znaleźć, jednak w rozproszeniu.

Z zaistniałej sytuacji niezadowolona jest znaczna część lokatorów mieszkań socjalnych i komunalnych, którzy również cierpią wskutek sąsiedztwa osób z marginesu. – Nowy blok, a wygląda jakby miał z 10 lat – mówi o swoim budynku jedna z mieszkanek, prosząca o anonimowość. I kontynuuje: Młodzież stoi na klatkach, pali i pije. Wszystkie zamki w piwnicach są powyrywane. Jesteśmy sterroryzowani. Kiedyś zwróciłam takim jedenastolatkom uwagę, to wrzucili mi foliówki wypełnione wodą do mieszkania. Mieszkam z dziesięcioletnią wnusią, z początku ona sama tu chodziła, ale teraz się boi. Policja nie reaguje.

Inaczej jest na Stołeczynie. Wprawdzie oskarżano mieszkańców

Fenixa o agresywne zachowania wobec członków społeczności lokalnej, jednak, jak wynika z policyjnych raportów, nie było żadnego zgłoszenia przypadku przemocy w wykonaniu bezdomnych. Zdarzały się natomiast sytuacje odwrotne, w tym jeden przypadek skatowania na śmierć bezdomnego przez grupę wyrostków w pobliżu schroniska.

DOGADAĆ SIĘ Z NIMI NIE IDZIE

Problemów z przemocą doświadczają w Polsce także uchodźcy. Po wystąpieniu posła Lecha Kołakowskiego (PiS) z wnioskiem o likwidację ośrodka dla uchodźców w Łomży, doszło do pobicia dwóch Czechenek. Wprawdzie teza, że to wniosek posła spowodował przemoc wobec kobiet, jest zbyt daleko idącą, bowiem w żaden sposób nie nawoływał on do takich postaw. Jednak mógł mieć udział w tworzeniu atmosfery „oblężonej twierdzy”, która wywołała w końcu reakcję „obronną” napastników.

W ośrodku przebywają głównie Czecheni i przedstawiciele innych kaukaskich narodów, którzy uciekli przed wojną i represjami politycznymi. Poseł w swoim wniosku powoływał się na kłopoty w porozumiewaniu się z mieszkańcami z uwagi na nieznaną sobie języka polskiego, brak pracy dla cudzoziemców w Łomży, konflikty z prawem oraz na to, że tak małego miasteczka nie stać na utrzymanie ośrodka. Poselskiej reakcji nie może się nadziwić Ewa Piechota, rzecznik prasowy Urzędu ds. Cudzoziemców: Przecież ośrodek jest w całości utrzymywany z budżetu centralnego, a osoby w nim przebywające są w trakcie rozpatrywania wniosku o azyl oraz aklimatyzacji do naszych warunków, w tym nauki języka.

Sensacyjnych wieści o dużej ilości przestępstw, których sprawcami mieliby być cudzoziemcy, nie potwierdza łomżyńska policja. – Zdarzają się przestępstwa popełnione przez obcokrajowców, ale w skali miasta to jest promień – relacjonuje Sławomir Dąbrowski, oficer prasowy miejskiej policji. – Trzeba pamiętać, że są to ludzie, którzy wynieśli z wojny

traumatyczne przeżycia, a teraz znajdują się w zupełnie nowym środowisku, co stanowi dla nich pewien szok kulturowy. Przenoszenie ich z miejsca na miejsce z pewnością im się nie przysłuży – zauważa Ewa Piechota.

Inną kwestią jest lokowanie ośrodków dla azylantów w małych miejscowościach lub biednych dzielnicach, borykających się z problemem bezrobocia. Społeczności lokalne czują się zagrożone utratą pracy na rzecz „obcych”, a w takich warunkach o konflikt nietrudno. Gdy założono podobny ośrodek w Katowicach, okoliczni mieszkańcy okazywali silną niechęć wobec uciekinierów. Wskazywano na ich odmienność kulturową, w tym na to, że Czeczenki... wywieszają pranie w oknach, co przez tradycyjne śląskie rodziny jest uznawane za przejaw bałaganiarstwa – tylko skąd niedawni mieszkańcy Kaukazu mają o tym wiedzieć – oraz na to, że ich dzieci hałasują, bawiąc się na dworze.

Hałas był także jednym z czynników, które przeszkadzały mieszkańcom Białołęki, jeszcze zanim wspomniane przedszkole rozpoczęło działalność. Ten argument można zrozumieć (np. w przypadku osób pracujących w systemie zmianowym, które śpią w godzinach pracy przedszkola), mało kto jednak uświadamia sobie, że dzięki właściwemu planowaniu przestrzennemu można nie dopuszczać do takich konfliktów. Gdyby wcześniej zaplanowano przedszkole w miejscu nieco oddalonym od zabudowy mieszkalnej, wówczas jego lokalizacja nie stanowiłaby problemu. Niestety, w 2004 r. prawie wszystkie plany zostały ustawowo zniesione, by już nic nie stało na przeszkodzie „inwestowaniu”. Białołęka jest modelowym przykładem chaosu, który wynika z takiego (braku) myślenia.

O hałasie wspominają także protestujący z Julianowa. Oni jednak – inaczej niż mieszkańcy Gliwic czy Białołęki – nie martwią się o siebie, lecz o to, że odgłosy dochodzące z boiska pobliskiej szkoły będą przeszkadzać pensjonariuszom planowanego hospicjum. Tego, przeciwko którego budowie protestują...

BRUDNA BOMBA SOCJALNA

Podobnie jak zaskakujący jest protest przeciw lokalizacji przedszkola, tak przerażający był opór mieszkańców wsi Żelazno w woj. dolnośląskim wobec planów utworzenia ośrodka dla dzieci z trudnych środowisk. – Chodziło o stworzenie miejsca, w którym umieszczalibyśmy dzieci do 14. roku życia, pochodzące z rodzin z problemami, na okres roku. Dzieci miały się oderwać od problemów, z którymi stykają się na co dzień oraz otrzymać opiekę terapeutyczną – relacjonuje Jolanta Łazuga-Koczurowska, prezes stowarzyszenia Monar.

Gdy wieść się rozeszła, mieszkańcy zaprotestowali. W wypowiedziach prasowych sprzed sześciu lat możemy przeczytać: „Nie chcemy tu patologii”, „Niech no tylko przyjadą tu ci narkomani” itp. Gdy pani Jolanta pojawiła się przed bramą zabytkowego pałacyku, w którym miał funkcjonować ośrodek, zastała oflagowaną wieś, wozy strażackie i jasny przekaz: wybij sobie z głowy jakikolwiek Monar w naszej wsi – wspomina po latach. I dodaje: Oczywiście nie wszyscy byli przeciw, wiele osób było za, podchodzili do nas mówiąc, że się nie identyfikują z postawą swoich sąsiadów, życzyli powodzenia.

Wśród argumentów „przeciw” pojawiały się te o „własnych problemach”. Rodzice obawiali się też, że rozmaite patologie, z którymi miały się borykać „trudne dzieci” z całej Polski, przejdą na ich własne pociechy. Wydaje się, że najtrafniej ówczesną atmosferę niepokoju wyraziła siostra Erna ze Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej. – Absolutnie się na to nie zgodzimy. Mało to mamy problemów ze „swoimi” dziećmi? – mówiła zakonnica jednemu z lokalnych dzienników. Po latach nie może sobie przypomnieć własnych słów i wszystkiemu zaprzecza.

Niestety, to nie jedyny przypadek, gdy duchowni zapomnieli o przykazaniu miłości bliźniego. Przed czterema laty proboszcz Jan Bartkowiak opowiadał się przeciw usytuowaniu placówki Markotu na poznańskiej ul. Główniej, argumentując, że w tej okolicy dość już jest patologii. Na identyczny argument

powołuje się Zygmunt Serafin, przewodniczący Rady Osiedla Stołczyn: Nie dość, że ta dzielnica jest już patologiczna, to jeszcze nam się podrzuca jakieś kukułcze jajo w postaci ośrodka dla bezdomnych. Kiedy zauważam, że bezdomni też gdzieś muszą mieszkać, natychmiast odparowuje: To już jest miasta problem.

W Myszkowie (woj. śląskie) przeciwko lokalizacji mieszkań socjalnych w dawnej bursie szkolnej zaprotestowała inna grupa, którą można by podejrzewać o szersze horyzonty i empatię. Tym razem byli to nauczyciele z sąsiadującej szkoły i członkowie wspólnoty mieszkaniowej, w większości pracownicy placówki. Wskazali na rzekome zagrożenie patologiami ze strony „tych z socjału”. W liście do starosty pytają: Kto o zdrowych zmysłach wyśle dziecko do szkoły znajdującej się w takim otoczeniu? Cały pomysł władz miasta określają mianem „brudnej bomby socjalnej”.

WARTO ROZMAWIAĆ

Zachowania takie, jak wyżej opisane, określane są przez socjologów mianem NIMBY, od angielskiego Not In My Back Yard (byle nie na moim podwórku). Osoby, które wpisują się w to zjawisko, deklarują, że popierają sam cel „inwestycji”, ale sprzeciwiają się jej lokalizacji na „swoim” terenie.

Bardzo często takim reakcjom można zaradzić poprzez dialog i rzetelną informację. – W rozmowach, jakie prowadziliśmy ze społecznością lokalną, cały czas przewijał się wątek tego, że tak ważnej decyzji nikt nie skonsultował z mieszkańcami – relacjonuje pani Łazuga-Koczurowska. Efektem negocjacji było referendum, które okazało się korzystne dla Monaru i jego podopiecznych. – Protesty natychmiast po plebiscycie zniknęły, a trzy miesiące później żyliśmy już w zgodzie z całą wsią – cieszy się pani Jolanta. Gdy ośrodek Monaru ruszył pełną parą, okazało się, że pomocy potrzebują nie tylko przybysze z różnych stron Polski – na miejscu jest wiele osób ubogich czy z problemem alkoholowym. Niestety, po paru latach PCK, będący

właścicielem budynku, wymówił dzierżawę i sprzedał pałac...

Rozmowy nie zawsze jednak udaje się przeprowadzić z pozytywnym skutkiem. W Gliwicach, pomimo prób mediacji, nie udało się przekonać mieszkańców, że mieszkania przystosowawcze nikomu nie sprawią problemów. – Mieszkańcy cały czas mówili „nie”, „uzasadniając”: „bo nie!”. Nie pomagały nawet pozytywne przykłady, również z Gliwic – mówi ze smutkiem Irena Paprocka. Ostatecznie decyzją administracyjną ośrodek na Paderewskiego został zatwierdzony. Mieszkańcy, z poczuciem przegranej, zakończyli protest.

Dialogiem i partnerskim traktowaniem wiele jednak można osiągnąć. W połowie września 2009 r. Urząd ds. Cudzoziemców otwierał ośrodek dla uchodźców w Białej Podlaskiej. – Zorganizowaliśmy wcześniej spotkania informacyjne dla mieszkańców, przy współpracy księdza z miejscowej parafii – wspomina Piechota. – Również przy jego pomocy zorganizowaliśmy otwarcie ośrodka. Przyszło około trzystu osób. W czasie, gdy czeczeńskie dzieci tańczyły, widownia klaskała do rytmu – dodaje pani Ewa. – Za każdym razem, gdy otwierany jest nowy ośrodek, należy zaczynać w ten sposób. Między nami są duże różnice kulturowe i Polakom należy pokazać, że jesteśmy takimi samymi ludźmi, że musieliśmy uciekać z kraju, że teraz tu prosimy o gościnę, że chcemy się integrować i żyć w pokoju. To zapobiega sytuacjom, kiedy ludzie mówią: „nie, bo nie” – dzieli się swoimi doświadczeniami Malika Abdoulvakhabova, wiceprezes Fundacji „Ocalenie”, czeczeńska azylantka w Polsce.

Efekt takiego podejścia najlepiej widać w Dąbrowie Górniczej, gdzie po warsztatach Fundacji w szkołach, do których uczęszczają dzieci uchodźców, wrogość do obcokrajowców zniknęła. – Kiedy dzieciom wytłumaczyliśmy, w jakiej jesteśmy sytuacji, dlaczego znaleźliśmy się w Polsce, kiedy trochę o sobie opowiedzieliśmy, to nastolatki, które były wobec nas wrogo nastawione, przychodziły i pytały, jak nam mogą pomóc, twierdziły, że chcą działać na rzecz uchodźców – wskazuje praktyczne skutki działań pani Malika.

Autor: Konrad Malec

Współpraca: Liliana Milewska, Agata Bartnicka

Źródło: [Obywatel](#)